

Dawid Juraszek



小

龙

Xiao Long

Jedwab i porcelana

ODWET

TOM I

RW2010

DAWID JURASZEK
ODWET
z cyklu
JEDWAB I PORCELANA
tom I Niebieski smok

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja i korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Dawid Juraszek 2013

Okładka Copyright © Zhou Bijiao 周碧姣 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Rozdział I

o tym, jak Xiao Long najpierw przeżył rozczarowanie, potem ujrzał nieszczęście, a wreszcie nabrał podejrzeń.

– Jesteśmy na miejscu, panie!

Xiao odgarnął zasłonki i skrzywił usta. Lodowaty wicher wywiał z dzielnicy kwiatów i wierzb wszystkich przechodniów. Rozczarowany wygramolił się z lektyki.

Wypłacając tragarzom słońną stawkę, nie przestawał w duchu przeklinać zimowej aury. Elegancki palankin, czterech kulisów, nowy jedwabny chałat i takież czepiec, a pod bramą przybytku Baixue zamiast hałaśliwego tłumu spragnionych wieczornej rozrywki swawolników hulał tylko wiatr. Cały kosztowny szpan na nic.

Tragarze odtruchtali z pieniędzmi, kuląc się z zimna. Bakalarz czym prędzej podszedł do wrót wyjątkowego w okolicy, bo piętrowego budynku, zastukał kołatką w kształcie zwierzęcego łba i poszedł za służką wzdłuż ponurego dziedzińca ku przepastnym pomieszczeniom.

W ciepłym mroku, przesyconym poświatą wielobarwnych lampionów padającą na zdobione filary i ażurowe ścianki, zabawa trwała w najlepsze. Nowy nabytek Baixue, szesnastoletnia Bukiet Kwiatów, stała na stole i śpiewała „Tonąc w chmurach”, dwie kurtyzany akompaniowały jej na księżycowych lutniach, trzy tancerki pląsały zwiewnie na środku sali, a goście pili, jedli, śmiali się i rozbierali dziewczyny wzrokiem, szykując się do lubych potyczek. Pieśń Bukietu Kwiatów słyszał każdy, ale nikt jej nie słuchał.

Nie lękam się wiatru z zachodu.

On chmur tych nigdy nie przegna,

W których zapadłam za młodu

I z rozkoszą wnet utonęłam.

*Nie lękam się wiatru z południa.
On chmur tych nigdy nie zmiecie,
W biel których wtulam się co dnia
I w których szczęśliwa zasypiam.*

*Nie lękam się wiatru ze wschodu.
On chmur tych nigdy nie spędzi,
Do których chowam się chłodu,
Gdy żar we mnie zbyt rozgorzeje.*

*Lękam się wiatru z północy,
Bo on te chmury rozwieje,
Pieszczotę ich kłębów odbierze
I gdzie ja się wtedy podzieję?*

Jak spod ziemi przed Xiao wyrosła Baixue. Twarz kurtyzany, sławnej niegdyś w całym powiecie jako Śnieżna Piękność dzięki cerze gładkiej niczym świeży śnieg, dziś pokryta była siecią głębokich zmarszczek.

– Witaj. – Skinęła głową. Młodzieniec nie należał do takich, którym trzeba oddawać najniższe pokłony. – Spocznij, proszę, i wychyl czarę herbaty. Zawołam, kiedy tylko Modry Lotos będzie gotowa.

Służka postawiła przed bakałarzem dzbanek herbaty ze smażonym na miodzie kumkwatem. Sącząc gorący napar, Xiao patrzył na czarującą Bukiet Kwiatów, ale widział tylko Modry Lotos. Nie każdy ma kurtyzanę na wyłączność, pomyślał z satysfakcją.

Zdażył się już zniecierpliwzić, gdy wreszcie Baixue przesłała mu upragniony sygnał. Zapłacił i jak na skrzydłach wbiegł na galeryjkę na piętrze. Poprawił na sobie chałat, odetchnął i wszedł do komnaty kurtyzany.

Dziewczyna siedziała na rzeźbionym krześle, z haftowaną poduszką pod plecami i łokciem wspartym o lakowany stoliczek. W złocistym bezrękawniku, z barwiczką na ustach i bielidłem na twarzy wyglądała niczym bohaterka opowieści o konkubinach dawnych cesarzy. Na widok Xiao podniosła się z wdziękiem. Zaszumiała fałdowana spódnica, błysnęły kolczyki z nefrytu. Bez słowa pociągnęła bakałarza do sypialni. Usiedli na łożu osłoniętym muślinową moskitierą, rozdzieleni stoliczkiem, na którym stał już porcelanowy dzbanek z migdałową herbata, talerze z gęsiami żołądeczkami, płaty jesiotra i węgorza. Ze stojącej obok kadzielnicy dobywał się zapach drewniek sandałowca, a piecyk żarowy emanował przyjemnym ciepłem. Zaczynało się pogodne a leniwe preludium burzliwej i wyczerpującej nocy.

Xiao sięgał właśnie po ostatni kawałek ryby, a Modry Lotos po lutnię, kiedy na korytarzu rozległy się pijackie głosy.

– ...bez znaczenia! Mój towarzysz ma ochotę spędzić dziś noc z Modrym Lotosem!

Bakałarz struchlał. Znał ten głos. Aż za dobrze.

Zza cienkiej ściany dobiegła stłumiona odpowiedź. To Baixue starała się załagodzić sytuację, ale nadaremno.

– Mój dzień czy nie mój dzień, moja jest kurtyzana i ja nią rozporządzam! Jak możesz odmówić człowiekowi, który bywał tu jeszcze, kiedy sama musiałaś śpiewać?

Podniesione głosy wybuchły ze zdwojoną mocą. Mężczyźni wdarli się do komnaty i ruszyli w kierunku sypialni.

– Modry Lotos, wstawaj! Przyprowaździłem ci nowego wielbiciela...

Sędzia Chu na widok Xiao zachwiał się i stanął jak wryty. Bakałarz zamarł z rybą złapaną w szczypce pałeczek. Kurtyzana wtuliła głowę w ramiona. Ciężkie kroki ucichły w pierwszym pokoju.

– Mówiłaś, że śpi... – wymamrotał Chu, odwracając się do Baixue. Staruszka milczała. Znać było, że kalkuluje, jaką strategię obrać. Raptem zgięła się w ukłonie, od którego zaskrzypiał jej wiekowy kręgosłup.

– Wybacz, czcigodny panie! Ciężkie czasy nastały, nowe domy kielkują w mieście niczym fasola mung w wodzie! Cóż miałam robić ja, prosta rajfurka, jak tylko znaleźć zamożnych patronów...

– Mój pisarz sądowy zamożnym patronem? – Chu parsknął śmiechem, lecz zaraz spoważniał. – Modry Lotos była moja na wyłączność. Mieliśmy umowę.

– Wybacz, panie! – Baixue, klęcząc, zamiatała już nosem podłogę. – Nie mam nic na swe usprawiedliwienie poza widmem nędzy, jaka zajrzała mi w oczy.

– Dość tych bzdur! – Chu zazgrzytał zębami i odwrócił się do Xiao. – Od kiedy gzisz się z tą bezwstydną ścierką? Gadaj!

Bakałarza przeszedł dreszcz. Czuł się zdradzony i oszukany, ale wyzwiska należały się stręczycielce, nie Modremu Lotosowi. Przełknął ślinę i drżącymi palcami włożył sobie do ust ostatnią porcję ryby.

– Od dawna – wymlaskał, markując spokój.

Oczy Chu rozblęły wściekłością.

– Jeszcze się policzymy – warknął i obróciwszy się chwiejnie, wyszedł, potracając Baixue. Po chwili kroki obu mężczyzn ucichły.

Staruszka podniosła się i z dezaprobatą spojrzała na bakałarza.

– Niedobrze sędziemu odpowiedziałeś, panie, bardzo niedobrze. Wściekły teraz będzie, dom mój nieprędka odwiedzi...

– A odwiedzał od kiedy? – przerwał Xiao.

Rajfurka schyliła głowę w ukłonie.

– Sytuacja zmusiła mnie do szukania bogatych patronów...

– Pleciesz! – Xiao dość miał kłamstw. – Od jak dawna Chu odwiedzał Modry Lotos?

Baixue nie zdołała ukryć błakającego się po jej ustach uśmiechu.

– Od dawna, panie, od dawna...

Urażony bakałarz odwrócił się do kurtyzany. Patrzyła nań z iskierkami rozbawienia w oczach, głaszcząc od niechcienia lutnię. Otworzył usta, by zwymyślać obie kobiety, kiedy nagle złość ustąpiła miejsca obojętności.

– Wystawiasz barani łeb, a sprzedajesz psie mięso – rzucił chłodno do Baixue. – Nie spodziewajcie się prędko mej następnej wizyty.

Odwrócił się i wyszedł szybkim krokiem.

A przecież kto czyta poezję, ten wie:

Pułapka na mężczyzn

Mroczna niczym grotą.

Mury jak więzienne,

Ciała jak w kostnicy.

Kto kupuje miłość,

Ten niechaj pamięta:

Zapłaci przy bramie,

Zapłaci za bramę.

*

Przecierając zaczerwienione z niewyspania oczy, Xiao wsiadł do taniej lektyki. Miasto było na nogach już od świtu, ale pracownicy jamenu mieli pewne przywileje. To petenci powinni czekać na sąd, nie sąd na petentów.

Kulisi dreptali przez miasto, niemiłosiernie trzęsąc i podrzucając pasażerem. Kiedy skręcili w główną arterię, spowił ich gwar i odór tłumów. Lektyki i palankiny wszelkiej klasy, handlarze obciążeni nosidłami, jeźdźcy oraz zwykli przechodnie sunęli we wszystkich kierunkach, przepychając się, krzycząc, nawołując bezustannie. Przez ciżbę wokół spinających obie strony drogi łuków ceremonialnych, gdzie pomiędzy wysokimi filarami i pod zdobnymi okapami rozkładali swe towary straganiarze, ledwo można było się precyzyjnie przesuwać. Xiao chętnie zaciągnąłby zasłonki, lecz jego lektyka składała się tylko z dwóch żerdzi bambusowych i siedziska z deszczulek.

Mimo podrygiwania byłby się zdrzemnął i rymnął na ziemię wprost pod stopy i kopyta, gdyby nie zmiana w tonie głosów ulicy. Wrzawa nie była już beznamietnym szumem. Zaczął ożywiać ją jeden cel, jedno uczucie. Bakałarz podniósł głowę. W samą porę.

Z okazałej bramy mijanej rezydencji ściągnano właśnie zwłoki wisielca.

- Z tego to już się nie wywinie, rozwiążły birbant!
- Przeklęty Sun, cóż on musiał temu biedakowi zrobić!
- Teraz mu się dobrać do skóry.
- Jakież straszne nieszczęście pchnęło tego człeka do zemsty?

Tłum szemrał na tę samą nutę. Nie było nikogo, kto patrzyłby w innym kierunku i kto nie podejrzewałby właściciela rezydencji, niegdyś wysokiego urzędnika, a dziś wpływowego bogacza, Suna, o wszystko, co najgorsze. Jakżeby inaczej, skoro na całej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się same ponure budynki o mrocznych dziedzińcach, posiadłość notabla była jedyną z ogromnym ogrodem, pełnym ozdobnych drzew, których wierzchołki z pychą wystawały ponad wyniosły mur.

Xiao patrzył, jak miejscy strażnicy ściągają ciało, i rozmyślał nad najbliższą przyszłością. Nie czuł się na siłach spędzić całego dnia na asystowaniu sędziemu Chu i spisaniu zeznań, ale zapewne to właśnie go czekało.

Kiedy ciało odwieziono wreszcie spod bramy, tłum zaczął powoli rzednąć; wracano do zwykłych zajęć. Lektyka ruszyła ślamazarnie naprzód, lecz całą drogę Xiao słyszał zewsząd te same złorzeczenia pod adresem Suna. Ulica będzie miała o czym rozprawiać przez kilka najbliższych dni.

W bramie jamenu Xiao o mało nie zderzył się z gońcem.

– A dokąd tak pędzisz? – zagadnął młodzieńca. Jun był rówieśnikiem Xiao i dalekim krewnym Chu, a zarazem całkiem sympatycznym chłopakiem. Sędzia sprowadził go do jamenu kilka tygodni wcześniej.

– Na rynek, ogłosić wyniki śledztwa! – wydyszał zapytany.

Bakałarz zmarszczył brwi.

– Jakiego śledztwa?

– W sprawie samobójcy w posiadłości pana Suna!

Xiao uniósł brwi.

– Jak to, już? Kiedy tu jechałem, dopiero...

– Nie mam czasu, kazano mi ogłosić wyniki jak najszybciej! – Chłopak skrzywił się przeproszająco i zostawił skołowanego bakałarza sam na sam z myślami.

*

– Sędzia wzywa – rzucił krótko strażnik i zniknął.

Xiao z westchnieniem odstawił czarękę, którą właśnie podnosił do ust. Od pierwszych chwil w swym gabinecie oczekiwał wezwania, a kiedy wreszcie nadeszło południe i uznał, że może spokojnie napić się herbaty, przypomniał sobie o nim. Chcąc nie chcąc, wstał i wzięwszy przybory do pisania, udał się do gabinetu Chu.

Sędzia przywitał pisarza spojrzeniem lodowatym niczym szczyt Świętej Góry Heng w środku zimy.

– W nocy pewien sklepikarz nazwiskiem Peng powiesił się na bramie posiadłości czcigodnego Suna – zaczął oschle. – Powodem była kradzież, jakiej

dokonał jeden ze sług Suna, Wei, w jego sklepie. Pozbawiony środków do życia Peng podjął postanowienie o zemście na Weiu. Oto jego list. – Wskazał leżącą na biurku kartkę. – Powiesił się, wierząc, że jako duch wymierzy złoczyńcy sprawiedliwą karę. Nad ranem znaleziono Weia martwego. Sprawa jest zamknięta. Werdykt już ogłosiłem publicznie.

Xiao sięgnął po list. Zawierał tylko krótkie oskarżenie pod adresem Weia i solenną przysięgę, że nie ujdzie on sprawiedliwości na żadnym ze światów.

– Żeby formalnościom stało się zadość, muszę zadać Sunowi kilka pytań. Przy okazji poinformuję go o umorzeniu śledztwa z powodu śmierci winowajcy i jego ofiary. Bądź gotów do wyjazdu. Poślę po ciebie. – Odprawił pisarza ruchem ręki.

Herbata zdążyła ostygnąć. Xiao sączył letni napar i rozmyślał. Tempo, z jakim sprawa została zamknięta, było niezwykle. Ale też Sun nie był zwykłym mieszkańcem Hengshanu.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak wyglądała rozmowa sędziego Chu z czcigodnym Sunem i co o niej myślał Xiao Long, przeczytajcie następny rozdział.

Rozdział II

o tym, jak Xiao Long bierze sprawy w swe ręce, ale daje sędziemu Chu ostatnią szansę.

– Pan Sun już czeka.

Dwaj słudzy zgięli się w ukłonie. Chu i Xiao ominęli murek chroniący przed demonami i udali się w głąb posiadłości. Nawet teraz, kiedy zieleń prezentowała się szaro i brzydko, w stawach zamiast pomarańczowych rybek pływała kasza lodowa, a z kwiatowych donic sterczały suche badyle, obszerne, z rozmachem zaplanowane i dobrze utrzymane ogrody robiły wrażenie. Jeszcze większe robiły reprezentacyjne altany i pawilony, których wywinięte na krawędziach ku górze granatowe dachy dumnie godziły w ołowiane niebo.

Właściciel – zwalisty, zadbanej mężczyzna o długich paznokciach godnych urzędnika pałacowego – przyjął ich na progu budynku głównego, odziany w kosztowny chałat przewiązany jaspisowym pasem. Miał już swoje lata, ale wciąż trzymał się krzepko. Towarzyszył mu chudy mężczyzna w średnim wieku, jak się okazało, rządcą De. Przywitali się wylewnie z Chu; na Xiao nawet nie spojrzeli.

Wewnątrz dostatek wycierał z każdego kąta. O wielkich tradycjach rodu Sunów świadczyły wspaniałe pośmiertne portrety przodków. Malowanych jedwabnych parawanów nie powstydziliby się w swym apartamencie żaden gubernator, zwoje z górskimi pejzażami wyszły niewątpliwie spod pędzelka najprzedniejszych malarzy, a na meblach spocząć mógłby wzrok samego cesarza.

Nic dziwnego zatem, że i podarki, jakie Sun przyszykował dla sędziego, mogły przyprawić o zawrót głowy.

– Czcigodny sędzio, wybacz marność mych darów – kajał się notabl, kiedy słudzy wnosili kolejno zwoje jedwabiu przetykanego złotą nicią, misternie rzeźbione nefrytowe pucharki, srebrne posążki Nieśmiertelnych, zbiór dzieł literackich,

pałeczki z kości słoniowej i jaspisowy pas ze złoceniami. – Ośmielam się przekazać ci owe nędzne przedmioty, wierząc, że przydadzą się chociaż dla służby.

Chu długo się wzbraniał, by wreszcie ze łzami zaskoczenia i wdzięczności w oczach przyjąć dary. Potem usiedli wreszcie; podano herbatę i przekąski. Tak chyba musi smakować Sześciokrotny Pokój, składana w daninie cesarzowi, pomyślał Xiao po pierwszym łyku. Prawdę rzekłszy, nie zdziwiłby się, gdyby właśnie tę niezwykle drogą herbatę miał teraz przed sobą. De udał się do swych obowiązków, a Chu zaczął z notablem zwyczajową rozmowę o niczym. Dopiero kiedy sługa zmienił dzbanek, Sun zmienił i temat.

– Jesteś tu, dostojny sędzio, w sprawie służbowej. Nie mam sumienia marnować twego cennego czasu na trywialne pogaduszki.

– Ależ, czcigodny panie, dla tak skromnego urzędnika jak ja to zaszczyt móc rozmawiać z tak wybitną osobą – zachnął się Chu.

– Niemniej pozwolę sobie przejść do rzeczy. Chodzi, jak sądzę, o owego nieszczęśnika, który dokonał żywota na mej bramie? – Notabl westchnął refleksyjnie.

– W rzeczy samej. – Chu skinął na pisarza. Xiao zdjął z taśmy przy pasie pędzelek, przygotował papier i trochę niepewnie rozłożył na cennym stole kamień ścierny i laseczki tuszu, dając znak słudze, by przyniósł trochę wody. – To tylko formalność, sprawę uznałem już za zamkniętą, niemniej wymogom prawa musi stać się zadość. Otóż śledztwo wykazało, że to twój sługa, niejaki Wei, był sprawcą całego zamieszania...

– Zdrada zaufanego sługi boli nie mniej niż jego śmierć. – Sun pokiwał głową w zadumie. – Wei służył mi wiernie przez wiele lat, lecz dopiero te jakże ponure okoliczności ukazały mi jego prawdziwe oblicze.

– Czy znaleziono już dobra, jakie ów bezecnik ukradł był samobójcy Pengowi?

– Niestety nie. Zleciłem dokładne przeszukanie posiadłości, ale jak dotąd niczego nie znaleziono. O ile jednak wiem, przez ostatnie kilka dni Wei nie

sprawował się najlepiej, znikał na całe dni i wracał pijany. Podejrzewam, że roztrwonił łup na kobiety, wino i hazard.

Xiao roztarł wreszcie tusz i zaczął gorączkowo notować.

– Jak umarł Wei? – ciągnął Chu.

– Zamknął oczy prawdopodobnie nad ranem. Słudzy zauważyli jego brak, kiedy wszyscy wylegli na dziedziniec po tym, jak zaalarmowano nas o wisielcu na bramie. Znalezione go w łóżku. Poprzedniego dnia też wrócił pijany, być może zmarł z przepicia, albo...

– Albo? – podchwycił sędzia.

– Albo duch Penga dokonał błyskawicznej zemsty – dokończył Sun. – Kazałem opłacić mnichów, by zanosili modły za całą mą rodzinę i służbę. Nabyłem również przedmioty strzegące przed złymi duchami.

Odślonił kołnierz chałatu. Na tęgiej szyi wisiały nefrytowe amulety, pokryte ochronnymi symbolami.

Chu uśmiechnął się.

– Tyle chciałem wiedzieć. Xiao Longu, wracaj do jamenu i wpisz zeznania pana Suna do końcowego raportu. Mają być gotowe, kiedy wrócę! Złożę pieczęć i jak najszybciej pošlę raport do gubernatorstwa.

Notabl przywołał sługę. Xiao pokłonił się, ale Sun zignorował pożegnanie.

Im bliżej bramy prowadził bakałarza sługa, tym silniej Xiao czuł, że musi coś zrobić. Przesłuchanie było farsą, wersja z Pengiem wieszającym się z powodu kradzieży dokonanej przez sługę Suna nie miała krzty sensu. Wolał nie myśleć, co działo się teraz w gabinecie Suna, ale wizja piętrzącej się przed Chu sterty kolejnych „nędznych” darów narzucała się sama. Jak to mówią o ludziach wpływowych, pawilon nad wodą pierwszy kąpie się w blasku księżyca. Fundamenty pawilonu Suna stały wprost w rzeczonym nurcie.

– Gdzie mogę obejrzyć ciało Weia? – wyrzucił wreszcie z siebie Xiao. Starał się pytać rzeczowo, lecz obawiał się, że głos mu zadrżał.

Sługa zatrzymał się i spojrzał zdziwiony. Bakalarz potrząsnął gniewnie papierami.

– Mam opisać zwłoki. Do raportu sędziowskiego.

Mężczyzna skinął głową.

– Tędy.

Zaprowadził pisarza do jednego z bocznych pawilonów. Prostota wystroju, wręcz ubóstwo, świadczyły jasno, że to pomieszczenia dla służby.

Wei leżał w obskurnym pokoiku, na starych drzwiach wyjętych z zawiasów. Twarz okrytego złachmanioną kołdrą mężczyzny zasłaniał kawałek pomiętego białego płótna.

– To tylko chwilka. – Xiao uspokajająco skinął słudze i ściągnął zasłonę.

Wei był stary. Tak stary, że pewnie jedna jedyna wizyta w przybytku rozkoszy skończyłaby się dlań śmiercią na miejscu. Bakalarz przezwyciężył wstęt i nachylił się ku sonej twarzy trupa. Nie wyczuł alkoholu. Spod boków zwiotczalej szyi wypelzały niebieskofioletowe plamy, na grdyce widniały ciemne sińce. Nagryzmołił na kartce kilka ideogramów i jak gdyby od niechcienia odgarnął kołdrę. Nagie, wychudzone ciało straszło wyraźnie zarysowanymi pod skórą kośćmi, boki tułowia pokrywały plamy, łokcie były otarte. Zasłonił zwłoki i skinął na sługę.

Dopiero kiedy wyszedł na ulicę i wsiadł do lektyki, pozwolił sobie na stłumione przekleństwo.

*

– Przekaż to Junowi, niech pośle z najbliższą pocztą.

Chu odłożył pędzelek i podał Xiao opieczętowany raport. Widząc, że bakalarz nie kwapi się do wyjścia, rzucił opryskliwie:

– Na co czekasz?

Młodzieniec wziął głęboki oddech.

– Wybacz, panie, śmiałość, ale... Wei nie okradł Penga.

Chu zmrużył kpiąco oczy.

– Co ty powiesz! Skąd ten wniosek?

Bakałarza zabolalo szyderstwo w głosie sędziego, ale nie dał po sobie nic poznać.

– Po pierwsze, dlaczego Peng po prostu nie wniósł na Weia skargi do sądu? Pan Sun nie angażowałby się w obronę pospolitego złodzieja, po co więc odbierać sobie życie, skoro karę Weiowi wymierzyłby sąd? Po drugie, po świecie chodzą już chyba prawnuki Weia. Ostatnia rzecz, jaka powstałaby w głowie tak starego i schorowanego człowieka to kradzież, nie mówiąc o...

– Skąd wiesz, że Wei był stary? – przerwał cicho sędzia.

Coś w wyrazie twarzy Chu powiedziało pisarzowi, by nie zdradzał, że samowolnie dokonał oględzin ciała.

– Pan Sun powiedział, że służył mu wiele lat...

Chu odchylił się w krześle.

– Co do winy Weia nie ma wątpliwości. Peng jego właśnie oskarżył...

– Samobójcy zwykle piszą listy na skórze – przerwał Xiao. – Papierowy list mógł podłożyć...

– Nie brnij w to, chłopcze. – Głos Chu stwardniał niczym yinduńska stal po zahartowaniu w ciele jeńca. – Sun jest bardzo ustosunkowany i fałszywie go oskarżając, możesz mu się narazić. Nie mam tyle władzy, by cię osłonić.

– Nie chcę nikogo oskarżać. Chcę jeno dojść prawdy – zaprotestował Xiao.

Chu wskazał palcem raport.

– Prawda jest tutaj. Ofiara i przestępca nie żyją. Sprawa zakończona.

– Kiedy byliśmy dziś w posiadłości pana Suna, nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że...

– Dość! Dość! Powiedziałem, że masz to zostawić! – ryknął Chu i walnął pięścią w biurko. – Sprawa jest za-koń-czo-na! – wycedził. – Zabieraj raport i nie pokazuj mi się na oczy przez najbliższy tydzień! Albo lepiej dwa! – Nieuznającym sprzeciwu gestem wskazał bakałarzowi drzwi.

Xao wyszedł z bijącym sercem i płonąca twarzą. Półprzytomny z gniewu odszukał Juna, przekazał mu raport i wyszedł ochłonać na ulicę.

Straszliwe podejrzenie nabierało wszelkich znamion prawdy. Musiał jeszcze tylko ustalić dwie sprawy.

Czy na skórze Penga znajdują się znaki, i co mają do powiedzenia jego krewni.

Bo o tym, że stary Wei zginął uduszony, nie wątpił już wcale.

Jeśli chcecie wiedzieć, jak Xiao Long ustalał obie te sprawy, zapoznajcie się z następnym rozdziałem.

Rozdział III

w którym Xiao Long ogląda nieboszczyka i udaje się do jego domu, gdzie spotyka pewnego Luia i otrzymuje niezwykle podarek.

Na dziedzińcu ucichło. Sędzia pojechał na noc do siebie, w jamenie zostało tylko dwóch strażników. I pisarz, zakopany w dokumentach w swym gabinecie.

Xiao na wszelki wypadek odczekał jeszcze trochę, a potem skierował się do kostnicy. Sprawa została zakończona, więc rodzina mogła już odebrać zwłoki, ale nie zauważył, by do jamenu ktoś przyszedł po ciało.

Kostnica znajdowała się na tyłach zespołu budynków tworzących hengshański jamen. Tak jak przypuszczał, w pobliżu nikt się nie kręcił. Strażnicy nie ruszali się z wartowni przy bramie i pewnie grali w madzonga. Bakalarz podkręcił płomień w lampce olejnej i wszedł do budynku, wsłuchany we własne łomoczące serce.

Coś smyrgnęło po podłodze. Xiao zatoczył światłem krąg i tupnął kilka razy nogą. Potem podszedł do leżącego na ceglanej podłodze Penga, kucnął i drżącą ręką nachylił lampkę. Szczury zdążyły już napocząć członki, ale tułów pozostał jeszcze cały. Bakalarz lustrował zsiniałą skórę Penga piędź po piędzi, starając się nie patrzeć na zniekształconą twarz nieboszczyka ani nie myśleć, że ma przed sobą zwłoki samobójcy, którego duch być może wciąż krąży po okolicy.

Na brzuchu Penga widniała ciemniejsza plama. Bakalarzowi wystarczyło jedno dłuższe spojrzenie, by nabrać pewności. To tu znajdował się napis, który następnie wbrew prawu zatarto. Nachylił się jeszcze bardziej. W świetle pełgającego płomyka starał się odcyfrować ostatnie słowa samobójcy. Ale ktokolwiek zbecześcił ciało zmarłego, dobrze wykonał swą robotę. Po ideogramach zostały tylko blade cienie.

Oczy pisarza zaczęły łzawić. Prędzej oślepnę, niż cokolwiek odczytam, pomyślał, i miał już wstać, kiedy błędzącym wzrokiem trafił na opuchnięte oblicze Penga.

Xiao poczuł, jak coś ściska go w gardle. Ten człowiek targnął się na własne życie, by wymierzyć karę za zło. Czegoś takiego nie robi się bez powodu. Teraz knowania nikczemników były na najlepszej drodze do zniweczenia tego chwalebnego zamiaru.

Podkreślił płomyk i ponownie nachylił się nad rozmazaną plamą. Wpatrywał się w cienie po ideogramach, nie zważając na cisnące się do oczu łzy. Obrócił się, by zobaczyć napis spod innego kąta, i wtedy to dostrzegł.

Jeden ideogram.

Był prawie pewien.

ŻONA

Pokrzepiony wpatrywał się w plamę jeszcze jakiś czas, ale bez skutku. Wreszcie dał za wygraną. Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Wziął z gabinetu trochę listów, by upozorować zaległą pracę, i zajrzał do wartowni.

– Wychodzę – ogłosił, jakby było oczywiste, że wciąż jest w jamenie. Zaskoczenie strażników wnet zastąpiła źle skrywana wrogość.

– Jeszcze jedno. – Xiao zignorował nieprzyjazne spojrzenia. Znał ich przyczynę. I rozumiał. – Ten wisielec rano... Przyjdzie poń rodzina?

Jeden ze strażników odezwał się z wyraźną niechęcią.

– Był tu jego ojciec dzisiaj po południu, ale mieliśmy przykazane od sędziego, żeby dać mu dwadzieścia razy ciężkim kijem i przegnać.

Xiao głośno wciągnął powietrze. Mimo wszystko nie spodziewał się czegoś takiego po Chu.

– A gdzie on mieszka? – zapytał po chwili wahania.

Strażnik wygiął niecierpliwie usta, ale znenacka odezwał się drugi.

– Mają sklep na ulicy Zielonej Topoli. Sprzedali mi tam kiedyś imbir cały wygniły w środku.

Xiao opuścił jamen. Nie życzył strażnikom spokojnej nocy. Wiedział, że i tak nie odwzajemnią pozdrowienia.

Wszyscy w jamenie, może poza Chu, którego to niewiele obchodziło, i Junem, który pracował tu od niedawna, obwiniali bakałarza o śmierć strażników Chenga i Denga. Xiao nie miał im tego za złe.

Sam wiedział, że jest winny.

Choć przestał już winnym się czuć.

*

Pawilon w rezydencji Suna.

Bakałarz obudził się przeświadczony, że całą noc śnił jeden obraz: przytulony do muru z jednej i osłonięty cyprysami z drugiej strony pawilon. Kiedy był z Chu u Suna, nie widział tego budynku, ale styl, w jakim został wzniesiony, i kolor dachówek nie pozostawiały wątpliwości.

Zdumiał się, gdy sługa powiedział mu, że ulica Zielonej Topoli znajduje się zaledwie dwie przecznice dalej. Ranek był zimny i wietrzny, jednak zrezygnował z lektyki i ruszył na piechotę.

Sklepik z przyprawami Penga znajdował się na rogu. Szyld i pęczki produktów wiszące na drzwiach Xiao musiał widzieć codziennie w drodze do jamentu, lecz dotąd nie zwrócił na nie uwagi. Kiedy patrzył na spuszczone okiennice i zaryglowane drzwi, podszedł doń zażywny grubasek w obcisłym chałacie.

– Właśnie się dowiedziałem. – Mrugnął porozumiewawczo. – Trzeba chyba będzie zaopatrywać się u Krzywego Changa, ale tam jakości nie można być pewnym...

Xiao przytaknął niby w zadumie, grając na czas. Musiał zastanowić się, co odrzec. Grubasek mówił o czymś, o czym Xiao nie miał najbledszego pojęcia, ale co mogło mieć znaczenie.

– Stary Peng jest? – bąknął wreszcie.

Grubasek pokręcił głową.

– Byłem u nich przed chwilą, ze służką rozmawiałem. Stary Peng odszedł w nocy ku Zachodniemu Niebu. W sądzie był, pięćdziesiąt kijów dostał, cud, że do domu zdążył się dowlec...

Xiao odłożył na później ustalenie, ile tych kijów naprawdę było.

– Źle się stało – rzekł smutno. – Cóż mi teraz począć?

Grubasek uśmiechnął się szeroko.

– Zapas jakiś u Penga powinien być, a jak nie, to ja mam jeszcze trochę na zbyciu. Lui jestem!

Wymieniwszy grzeczności, ruszyli wąskim, wilgotnym przesmykiem na tyły sklepu. Lui wszedł do środka bez zapowiedzi; Xiao postąpił za nim, tłumiąc niepewność. Młodziutka służka siedziała na skotłowanym kangu i zapinała kubrak. Na widok grubaska splonęła rumieńcem. Ożywioną musieli stoczyć rozmowę, pomyślał bakałarz.

– Chao, ptaszyno, ten oto pan życzy sobie rozejrzeć się po asortymencie. – Nie czekając, wszedł do mrocznej sali sklepowej. Zgrzytnęły okiennice, do środka wpadło szare światło poranka. Zanim jeszcze Xiao ujrzał wnętrze sklepiku, już wyczuł, co w nim znajdzie. Bo oto:

z haków zwieszają się

kiście papryki

pęczki czosnku

wiązki grzybów;

półki, szafki i stoliki uginają się

od butelek z trunkami

dzbanków z sosami

tac i tacek z kardamonem

gałką muszkatołową
bryłkami aloesu
goździkami
cynamonem
imbirem
suszonymi rybkami
i setką innych wydzielających mocną woń towarów.

Na pierwszy rzut oka był to typowy sklep z przyprawami, Lui nie dał się jednak zwieść pozorom. Nućąc pod nosem, podszedł do stojącej skromnie w kącie szafki i triumfalnie wyjął papierowe pudełeczko.

– Proszę! Niepotrzebnie się trapiłeś, pohasasz dziś ze swą pięknisią, że hej! Chodź, spróbujemy potargować się z dziewczyną.

Chao zdążyła się już odziać, ale wciąż rumieniła się pod bezpośrednim spojrzeniem Luia. Ten nie zakopywał jajek w ziemi.

– Byłem klientem Penga od lat, nie miałby mi więc za złe, gdybym odebrał sobie zamówioną i opłaconą wcześniej przesyłkę specjalną, prawda? – Służka machinalnie skinęła głową. – Wybacz, kwiatuszku, ale czas nam w drogę, więc...

– Chwileczkę – przerwał Xiao. – Gdzie leży stary Peng?

Skinęła brodą w kierunku bocznej izby. Panowały tam kompletne ciemności, lecz bakałarz nie miał ochoty ich rozświetlać.

– Czy ktoś z rodziny zajmie się ciałami? – zapytał.

Chao w końcu otworzyła usta. Miała nieprzyjemny, jazgotliwy głos.

– Nie mieli w Hengshanie rodziny. Ale za parę dni powinien przyjechać przyjaciel pana Penga z towarem, może on...

– Chodźmy! – zniecierpliwiał się Lui. – Pewnie nie wiesz, przyjacielu, jak trafić do Krzywego Changa, ale...

– Później – uciął Xiao i pędzony jakimś nagłym wewnętrznym ogniem zwrócił się do służki.

– Mieszkali sami? Nie mieli żon, rodzeństwa, konkubin?

Dziewczyna jakby skurczyła się w sobie.

– Młodszy pan miał żonę, ale... znikła dwa tygodnie temu. Podobno porwał ją jeden z klientów. Nic więcej nie wiem! – Wtuliła szyję w ramiona i spojrzała na bakałarza wzrokiem pełnym obaw.

– Peng powiesił się na bramie pana Suna. – Xiao patrzył jej prosto w oczy; czuł, że ma nad dziewczyną władzę i nie sprawiało mu to przykrości. – Na pewno o tym wiesz. Czy Sun zachodził tu do sklepu?

– Co to jest, przesłuchanie? – Lui zaśmiał się; bakałarz zignorował drwinę.

Służka skurczyła się jeszcze bardziej. Milczała. Młodzieńcowi mocniej zabiło serce.

– Przecież ślepa nie jesteś! Musiałaś go widzieć!

– Ja tu tylko sprzątam – wybąkała dziewczyna.

– Nie bój się Suna, on już nie żyje – szyderczo rzucił Xiao i nagle zamilkł.

Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie powiedział.

Lui poruszył się nerwowo.

– O czym ty mówisz? Sun nie żyje?

Bakałarz potrząsnął głową.

– Żyje, żyje, chciałem tylko rzec, że... – nie dokończył. Nie wiedział, co chciał rzec.

– Musimy pogadać – mruknął Lui, złapał Xiao za rękaw i pociągnął na zewnątrz.

– Uważaj z takimi słowami – rzucił ściszym głosem, kiedy szli w głąb ulicy Zielonej Topoli. – Sun to sukinsyn, ale ustosunkowany sukinsyn. Zna gubernatora i każdego wysokiego urzędnika w prowincji. Wszyscy wiedzą, że kładzie łapę na co

zgrabniejszym tyłeczku, na którym spocznie jego oko. Stary jest, a wciąż jak mało kto jary, każdy głupi widzi, że zebrał w życiu sporo kobiecej energii. Ale porwania mu nie zarzucaj ani śmierci nie życz, bo nie wiesz, kto słucha.

– Peng powiesił się nie bez powodu – syknął bakałarz.

– Toż ja nie mówię, że Sun nie zbałamucił i żony Penga! Widziałem ją parę razy. Peng musiał chować dla niej jakieś specjalne pigułki, bo inaczej nie wiem, jak ten biedak utrzymałby przy sobie taką ślicznotkę! Ale nie indaguj ludzi o to, bo skończysz jak stary Peng. Chyba że wcześniej powiesz się jak młody.

Xiao wyszarpnął ze złością rękaw z uścisku Luia.

– Skąd to wszystko wiesz?

Grubasek parsknął.

– Ma się oczy i uszy, a we łbie trochę rozumu. Co ci przyjdzie z oskarżania Suna? On się ze wszystkiego wywinie, a ty tylko napytasz sobie biedy. A właściwie to dlaczego tak cię to rusza? – zaciekawiał się nagle. – Nie jesteś Pengom swat ani brat. Masz w tym jakiś interes?

Xiao machnął ręką.

– Muszę już iść. Wszystkiego dobrego. – Odwrócił się, ale Lui zawołał:

– Czeka! A pigułki?

– Nie potrzebuję – warknął, lecz grubas już wtykał mu pudełeczko w dłoń.

– Bierz, jak dają. Tu jest sześć pigułek. Jedna wystarczy na całą noc uciech, dwie sprawią, że podolasz dziesięciu kobietom naraz, a po trzech umrzesz z rozkoszy. Podobno Sun brał dwie, a trzy kazał łykać swym oblubienicom!

Jakiś impuls kazał bakałarzowi wziąć pudełko. Odszedł bez pożegnania.

Jeśli ciekawi Was, dokąd udał się Xiao Long i co tam robił, przeczytajcie rozdział kolejny.

Rozdział IV

w którym dokonuje się pierwsza zemsta, a Xiao Long podejmuje wielkie ryzyko i odkrywa ponurą tajemnicę.

W pawilonie na terenie posiadłości Suna czekało ostateczne rozwiązanie. Xiao był tego pewien. Kręcił się jednak po ulicy już czas jakiś i wciąż nie wiedział, jak bezpiecznie dostać się do wnętrza.

Okazałe wrota uchylły się nagle, a spomiędzy nich wysunęło się siedem wspaniałych palankinów. Środkowy niosło aż sześciu tragarzy. Xiao szybko przewertował w myślach, co wiedział o rodzinie notabla. Wyglądało na to, że w posiadłości została tylko służba. Pojawiła się oto szansa, by względnie bezpiecznie wejść na teren posiadłości. Wystarczyło powołać się na Chu. Słudzy musieli pamiętać, że wczoraj towarzyszył sędziemu. Ale coś kazało bakałarzowi przywołać najbliższą lektykę.

– Prosto. Potem powiem, gdzie dalej.

Dwaj tragarze ze stęknieniem podnieśli lektykę z niezdecydowanym pasażerem i ruszyli za orszakiem Suna.

Kiedy zobaczył zbliżający się mur Świątyni Trzcinowej Fujarki, poczuł ukłucie zawodu. Pewnie jadać się modlić, stwierdził. Jednak nie kazał tragarzom zawracać. Wiedział, że być może traci szansę na rekonesans w posiadłości Suna, ale podskórnie czuł, że musi iść naprzód.

Palankiny zatrzymały się przed bramą świątyni. Xiao zapłacił i skryty w tłumie obserwował, jak z pojazdów wysiadają kolejno rządcą De, cztery konkubiny Suna, jego żona i na końcu on sam. Gołym okiem widać było problemy notabla ze spłodzeniem potomka.

Cała siódemka weszła do świątyni. Xiao podbiegł do jednego ze straganów ustawionych pod murem; za garść miedziaków kupił słomiany kapelusz i pęczek trociczek, by wraz z wiernymi wejść przez zatłoczoną bramę do środka.

Wszyscy oprócz Suna zdążyli już zniknąć w jednym z budynków. On sam zagadnął jakiegoś mnicha, który w te pędy pomknął w głąb świątyni. Xiao zapalił trociczki i trzymając nerwy na wodzy, stanąwszy między dymiącą kadzielnicą z brązu a notablem, jął udawać modły.

Nie czekał długo. Do Suna podszedł odświętnie ubrany wysoki kapłan lub nawet sam przeor. Xiao przysunął się bliżej pograżonej w rozmowie dwójki.

– ...postaramy się temu zaradzić – mówił mnich. – Tylko codzienne modły i szczodre datki dają szansę na odegnanie trapiących ciebie, panie, i twą rodzinę zmór.

– Dobra. – Bakalarza zaskoczył opryskliwy ton Suna. – To co mamy dziś tu robić i ile na was wydać?

– Jakikolwiek datek będzie mile widziany, choć nie mogę przed tobą, panie, ukrywać, że im mniejszy datek, tym słabszy skutek odniesie...

– Tyle srebra wystarczy?

Xiao zaryzykował zerknięcie spod kapelusza. Kapłan گیا się uniżenie, Sun zaś podawał mu dobrze wypchane sakiewki.

– Udaj się, panie, przed ołtarz. – Mnich wciąż się nie prostował. – Złóż Pięciokrotne Modły przed posągiem Zhanshenga, a potem Trzykrotne Modły przed posągiem każdego z pomniejszych patronów świątyni...

– Ile to wszystko potrwa? – burknął notabl.

– Nie dłużej, niż to konieczne, by modły przyniosły skutek. – Kapłan pokłonił się ostatni raz i wskazał Sunowi wewnątrz głównej świątyni.

Xiao odczekał chwilę i wciąż ściskając w złożonych dłoniach tłące się trociczki, wsunął się do środka. Otoczył go mrok, intensywny zapach kadzidła i niezliczone czerwone szarfy zwieszające się z sufitu. Odniósł wrażenie, że olbrzymi, złożony posąg Zhanshenga patrzy nań z dezaprobatą, ale oderwał wzrok od hipnotyzujących oczu i odszukał notabla.

Sunowie klęczeli u stóp figury, zanosząc Pięciokrotne Modły. Xiao odszedł w głąb sali i stanął przed pierwszym lepszym posągami, pogrążając się w niby-modlitwie, by od czasu do czasu rzucać spojrzenia w kierunku Suna.

Pierwszy rytuał dobiegł końca. Cała siódemka udała się w powolny obchód. Posągów wszystkich patronów świątyni było dobre trzy dziesiątki.

Bakałarz wędrował od bóstwa do bóstwa, nie spuszczać Sunów z oka dłużej niż na kilkanaście uderzeń serca. Tym większe było jego zdumienie, kiedy poczuł na ramieniu ciężką dłoń.

– Myślisz, że cię nie poznałem, brudny kundlu?

Xiao odwrócił się i spojrzał prosto w nalaną, cuchnącą, szyderczo wykrzywioną twarz.

– Czcigodny pan Sun? – Udał zaskoczonego, lecz mężczyzna zacisnął palce. Bakałarz skrzywił się z bólu, gdy długie, kręjące się paznokcie wraziły mu się w szyję.

– Tylko nie opowiadaj, że przybyłeś tu na modły. Widziałem tve chytne oczka, jak byłeś u mnie z Chu. Nie podobam ci się, co? Ty też mi się nie podobasz. I twoje szczęście, bo nie chcesz wiedzieć, co potrafię zrobić z chłoptasiami, którzy mi się podobają.

Jeszcze mocniej zacisnął dłoń. Bakałarz szarpnął się konwulsyjnie, ale na próżno. Sun nachylił się i syknął mu prosto w nos:

– Teraz wyjdiesz i nigdy więcej nie będziesz się za mną kręcił. Gdyby nie to, że znam twego ojca, kazałbym Chu obić cię do krwi. Nie miałby żadnych skrupułów, zwłaszcza po tym, jak ośmieszyles go u Baixue. Znikaj!

Odepchnął Xiao od siebie. Młodzieniec zatoczył się i uderzył potylicą o metalową stopę posągu Zhong Kuia. Ból eksplodował w czaszce bakałarza, zmieniając strach w gniew.

– Panie Sun! – krzyknął w kierunku pleców notabla. Mężczyzna znieruchomiał, znieruchomieli wszyscy w świątyni. Sun odwrócił się powoli.

– Miałeś szansę, wszarzu – zaczął, ale wtedy bakałarz przyskoczył i zerwał mu z szyi amulety.

Zaskoczony Sun złapał się za nagle огоłoconą szyję. W jego oczach błysnęła żądza mordy. Zmierzył się do ciosu, kiedy raptem świątynia zadrżała w posadach.

Modlący się nie zdążyli odzyskać równowagi po pierwszym tąpnięciu, kiedy nastąpiło drugie. Szarfy zafalowały, z sufitu poleciał kurz, podłoga pod Sunem zatrzęszczała i ustąpiła. Mężczyzna zapadł się po kolana.

– De! – wrzasnął. Xiao rzucił się w tył w samą porę, by umknąć uwadze nadbiegającego rządcy.

– Nie bój się, panie! – krzyknął przestraszony De. – Zaraz cię wyciągnę...

– Sam dam radę! – Notabl gniewnie odtrącił rękę rządcy. – Lepiej łap tego...

Kolejny wstrząs. Któryś posąg gruchnął na posadzkę, mężczyzna zapadł się do pasa. W jego oczach pojawił się strach. Wyciągnął rękę do rządcy. Ten, nie zważając na lecące z sufitu odłamki, jał ofiarnie wyciągać swojego pana. Podbiegli doń dwaj mnisi. Wspólnymi siłami podciągnęli Suna, lecz wtedy stało się coś niewyobrażalnego:

z mieszaniny zgruchotanego kamienia i drewna wokół notabla wynurza się półprzejrzysta sylwetka człowieka

szkliste ramiona oplatają masywne ciało

jednym ruchem wyrywają je z uścisku ratujących

przeraźliwy krzyk Suna rozdziera stęchłe powietrze świątyni

mężczyzna wyciąga ręce do góry rozpaczliwym gestem

De i mnisi są już jednak poza zasięgiem

notabl, skowycząc i wrzeszcząc, zapada się coraz niżej

szklana istota wciąga go nieubłaganie w ziemię

gruz sięga Sunowi już do piersi
już do gardła
naraż krzyk urywa się jak ucięty nożem
jeszcze tylko ręce wystają z dołu
jeszcze dłonie szamoczą się rozpaczliwie
i wszystko cichnie.

Żadnych więcej tapnięć. Żadnych więcej krzyków. Tylko żona Suna jęknęła i upadła na ziemię.

Wtem coś zatrzeszczało, zadudniło i z ogłuszającym hukiem na posadzkę runął posąg Zhanshenga.

Albowiem powiada przysłowie: im cięższe drzewo, tym głośniejsze upada.

Xiao mimowolnie zamknął oczy. Kiedy je otworzył, w świątyni panował chaos. Krzyki rannych mieszały się ze szlochem przerażonych, kurz wirował w powietrzu, jedni wybiegali bez zmysłów, inni wbiegali z pomocą. Bakałarz przełamał osłupienie i rzucił się do wyjścia.

W powstałym tumulcie zgubił nakrycie głowy i rozdarł chałat, ale poza tym zdołał cało przedrzeć się przez bramę niemal zablokowaną cisnącym się w obu kierunkach tłumem. Biegł, dopóki nie skręcił w ulicę, gdzie tragarze czekali na pasażerów, zamiast biec ku świątyni. Z trudem wydyszał adres i klapnął na deski siedziska.

*

Tak jak się spodziewał, informacja o katastrofie w Świątyni Trzcinowej Fujarki nie dotarła jeszcze w okolice posiadłości Suna. Spokój okolicy jaskrawo kontrastował z tym, co stało się i musiało nadal dziać w świątyni, a także z rozedrganiem każdej komórki ciała bakałarza. Miał niewiele czasu. Nie odliczając pieniędzy, opłacił kulisów, i gryząc wargi, zastukał do bramy.

Otworzyła młoda służka. Beznamiętnie wysłuchała przywitania Xiao, a potem bez słowa zamknęła mu drzwi przed nosem. Zamrugał oczyma i przez moment walczył z ulgą i pokusą, by odejść, ale coś nie pozwoliło mu dać jeszcze za wygraną. Zdesperowany miał już znów stukać, kiedy wrota otwarły się ponownie. Tym razem stała w nich starsza, gruba służąca.

– Z jamenu? Po co? – rzuciła krótko.

Xiao stłumił przekleństwo; poza pędzelkiem nie miał ze sobą żadnych przyborów do pisania. Na zmianę scenariusza było już jednak za późno.

– Przysłała mnie sędzia Chu. Do końcowego raportu zamykającego śledztwo potrzeba jeszcze naszkicować topografię posiadłości. To potrwa tylko chwilę. – Uśmiechnął się sztucznie.

Służąca otaksowała go wzrokiem. Rozdarcie chałatu Xiao zdołał ukryć pod przyciśniętym do boku ramieniem, ale braku czepca ani blizny tuż pod linią włosów nie mógł zamaskować. Dobrze, że choć kok miał zgrabnie i ciasno upięty.

– A gdzie dokumenty do szkicowania? – zapytała, sceptycznie spoglądając na cienki pędzelek wiszący Xiao u pasa.

– Żeby nie zajmować cennego czasu, posiadłość teraz obejrzę, a naszkicuję w sądzie. To jedynie formalność, szkoda kłopotać pana Suna...

– Pana nie ma w domu – oschle rzuciła kobieta, lecz uchyliła szerzej wrót.

Ku uldze pisarza do pilnowania gościa wyznaczyła młodą służkę. Dziewczyna snuła się za Xiao z wyrazem całkowitego znużenia na płaskiej twarzy. Bakałarz udawał, że z uwagą bada każdy szczegół, ale tak naprawdę rozglądał się tylko za jednym.

Wreszcie jego wysiłki zostały nagrodzone. Położony na uboczu pawilon wyglądał dokładnie jak budynek ze snu. Teraz musiał w jakiś sposób pozbyć się dziewczyny.

– Przynieś mi kilka sztuk papieru do rysowania. O tuszu nie muszę chyba wspominać? – dodał z wyższością przystającą urzędnikowi sądowemu. Zakładał, że dziewczyna nie słyszała jego rozmowy z grubaską.

Nie przeliczył się. Służka obojętnie skinęła głową i oddaliła się nieśpiesznie. Xiao rozejrzał się na boki i podszedł do pawilonu.

Drzwi były zamknięte. Zacisnął zęby i upewniwszy się, że jest sam, naparł na nie ramieniem. Zaskrzypiały, ale zamek nie ustąpił. W desperacji porzucił resztki ostrożności, cofnął się kilkanaście kroków i gruchnął w drzwi z rozbiegu.

Poddały się zaskakująco łatwo. W ostatnim momencie zauważył filar i złagodził uderzenie rękoma. Odetchnął i od razu tego pożałował. Mdlący odór panujący w mrocznym wnętrzu przywodził na myśl zaplecze rzeźni w upalny dzień. Bakałarz wtulił nos w zgięcie łokcia i zaczął się rozglądać. Miał bardzo niewiele czasu. Dziewczyna mogła wrócić w każdej chwili.

Pawilon okazał się pusty. Znajdowały się w nim jedynie cztery drewniane filary i trochę narzędzi ogrodniczych. Xiao obszedł wszystkie kąty, ale na próżno. Słysząc było wyłącznie jego zduszony oddech i skrzypienie desek podłogowych.

Stuknął nogą w podłogę. Nie tylko niemożliwe wręcz skrzypiała, ale i wyglądała na zadziwiająco nierówną. Pochylił się i dotknął desek. Dały się bez trudu oderwać, odsłaniając nagą ziemię. Pogrzebał w niej butem, potem chwycił pierwszą z brzegu deskę i zagłębił w podłoże.

Zatrzymała się na czymś twardym.

Złapał najbliższą ze stojących pod ścianą łopat i kilkoma ruchami wydobył na powierzchnię owalny przedmiot. Z niedowierzaniem strząsnął zeń resztki ziemi.

Poczuł falę mdłości.

Głowa.

A raczej pokryta odłóżką skórą czaszka.

Przez jedno uderzenie serca stał, wstrzymując oddech, a potem rzucił łopatę w kąt i wybiegł na zewnątrz.

W samą porę przypomniał sobie o drzwiach. Kiedy oddzieliły go od cuchnącego mroku wnętrza pawilonu, usłyszał za sobą kroki.

Drżącymi rękoma wziął od dziewczyny tabliczkę tuszu i idąc w kierunku bramy, usiłował udawać, że coś kreśli. Obojętność służki ustąpiła miejsca podejrzliwości, kiedy nie rozrobił tuszu, tylko zwilżonym w ustach pędzelkiem szurał po papierze, ale zmilczała. Już zamykała za nim wrota, gdy przypomniał sobie, że wypada oddać nietkniętą tabliczkę tuszu. Nie zareagowała na wypowiedziane łamiącym się głosem pożegnanie.

Jeśli frapuje Was, dokąd Xiao Long udał się z nową wiedzą, nie przerywajcie lektury!

Rozdział V

w którym obywatele miasta znajdują potwierdzenie swych przypuszczeń, zbrodnie układu prawie wychodzą na jaw i dokonuje się druga zemsta.

– Dobrze mu tak. – Skinęła Baixue i zapytała z wyczuwalną drwiną – Coś jeszcze? Modry Lotos ma dziś klienta. Chyba że możesz przebić jego cenę.

Xiao zignorował szyderczą propozycję. Nie po to zmusił się do przyjscia tutaj, by dać się sprowokować byle uwagą i wyjść przedwcześnie.

– Jak często odwiedzał twój przybytek?

Rajfurka wydeła usta.

– Taki wielki pan? Od lat go nie widziałam. Chu musiał być porządnie upity, że go tu przyciągnął. Ma własne zaopatrzenie. I dobrze.

– Dlaczego dobrze? Nie płacił?

Bakałarz widział, że kobieta zaczyna się niecierpliwić. Siedzieli w bocznym pomieszczeniu, lecz wyraźnie słyszeli odgłosy zabawy w głównej sali. Kiedy tylko przycichną, Baixue bez skrupułów porzuci gościa i uda się doglądać interesu.

– Świetnie płacił – odpowiedziała niechętnie. – Najlepiej. Ale kaleczył. Mnie oszczędził, bo byłam wtedy już najdroższą kurtyzaną w Hengshanie, jednak dla nowych dziewczyn nie miał zmiłowania. Jeśli żonę Penga potraktował podobnie, nie dziwię się, że ten się powiesił. W sądzie nie miałby przecież żadnych szans...

Nie po raz pierwszy Xiao miał wrażenie, że przekracza granicę znanego mu świata. Wszyscy zdawali się wiedzieć o zbrodniach Suna. I je akceptować.

– Ciała zakopuje na swej posiadłości – mruknął.

Baixue pokiwała głową.

– To doń podobne. Kiedy był u mnie ostatni raz, chyba w Roku Psa, chciał wykupić ciało dziewczyny, ale kazałam je spalić za murami miasta. Przynajmniej dostała namiastkę prawdziwego pogrzebu.

Xiao nie miał więcej pytań. A raczej ochoty, by czegokolwiek się dowiadywać.

W głównej sali przycichło, ktoś przemawiał pośpiesznie, rozległ się szum. Rajfurka bez słowa wstała i opuściła salkę. Bakałarz podążył za nią.

Część klientów wybiegała w pędzie, pozostali siedzieli z wyrazem zdumienia na twarzach. Baixue ostrym tonem zapytała służkę, co się stało.

– Ciało pana Suna... wyszło na powierzchnię... – wybąkała dziewczyna.

– Co ty mówisz? – podniosła głos Baixue, lecz Xiao już nie słuchał. Pobiegł za innymi.

Wieść obiegła miasto lotem błyskawicy. Każdy chciał naocznie przekonać się o prawdziwości pogłoski. I wyrazić swe wzburzenie.

Plotka nie kłamała. Kiedy Xiao przecisnął się w końcu przez rozgorączkowany tłum, jego oczom ukazał się posepny widok:

u zbiegu ulic na wysokość dorosłego mężczyzny wybrzusza się kopiec

kamienne płyty i glinę pokrywa krew

na szczycie karykaturalnie wykrzywiony leży Sun

nie

raczej jego zmasakrowane zwłoki, obwiązane jaspisowym pasem.

Tłum był wzburzony. Tłum wyciągał wnioski. O pojawieniu się ducha w Świątyni Trzcinowej Fujarki wiedział już cały Hengshan. Teraz wystarczyło skojarzyć fakty. Wszyscy pamiętali samobójstwo Penga poprzedniego dnia i błyskawiczny komunikat Chu o niewinności Suna. Ale duch nie mógł się mylić.

Bakałarz zaczął przeciskać się do tyłu. Dusza Penga została zaspokojona, lecz Xiao wciąż czuł w głębi serca niepokój. Miał coś do zrobienia.

*

„...ponadto bezzasadnie skazał starego Penga na ciężką chłostę, co dla owego człowieka skończyło się śmiercią. Komitywa, w której sędzia Chu poprzestaje z Sunem, i wysiłki, jakie czyni na rzecz zatuszowania jego ohydnych zbrodni, hańbią

prawo i stanowią żywotne zagrożenie dla ładu i porządku publicznego. Bo czyż domownik może czuć się bezpieczny, jeśli stróż wpuszcza do domu wilki i kasa razem z nimi?”

Oderwał pędzelek od papieru. Z ulicy dobiegły stłumione krzyki. To rozganiano resztki protestujących. Oburzenie, jakie wybuchło na ulicach po wyjściu na jaw zbrodni Suna i Chu, ustąpiło miejsca panice, gdy sędzia wezwał na pomoc starostę. Konne oddziały szybko uporały się z miejską biedotą. Na ulice powracały ład i porządek. Tylko pozornie. Xiao znów chwycił za pędzelek:

„Słuszny gniew, jaki ogarnął ludność miasta na widomy znak tych nieprawości, został bezlitośnie stłumiony. Sędzia Chu nie cofnie się przed żadną nikczemnością, by zachować stanowisko. Z tych względów niegodny jest piastowanej przez siebie funkcji, tak jak wąż nie nadaje się do pilnowania kaczek”.

Nie podał swego nazwiska, nie przybił pieczęci. Znajomości Suna i Chu mogły sięgać wysoko. Włożył list w stos zaległej korespondencji urzędowej i z pakunkiem pod pachą wyszedł z gabinetu.

Pokazywanie się w jamenie wbrew wyraźnemu nakazowi Chu było ryzykowne, ale jeszcze bardziej ryzykowne byłoby wysyłanie jednego listu. Urzędnicy pocztowi z reguły nie przeglądali korespondencji sądowej, lecz pojedynczy list do cenzora i jego nadawca łatwo mogły utkwić komuś w pamięci. Xiao wołał już bardziej się nie narażać.

Zanim wyszedł na dziedziniec, zatrzymał się i zlustrował plac. Na pewno nie chciałby spotkać teraz sędziego. Tłumaczenia zdałyby się na nic.

Uspokojony, ruszył przed siebie, kiedy nagle usłyszał z boku znajomy głos:

– Trzeba było powiedzieć! Akurat jadę...

To był Jun. Wyprowadzał ze stajni konia. Z uśmiechem wskazał juki.

– Jeszcze trochę miejsca się znajdzie. Właśnie się zastanawiałem, dlaczego tak mało raportów z tego miesiąca...

Bakałarz zaklął w duchu. Jednak ostatnia rzecz, jaką chciał zrobić, to wzbudzić podejrzenia.

– Świetnie! Już się bałem, że będę sam się z tym tarabanił. – Z uśmiechem podał chłopakowi listy. Przez okamgnienie rozważał, czy nie zaproponować, że potowarzyszy mu w drodze do poczty, lecz porzucił ten pomysł. Nie było miejsca, nie było potrzeby, nie było zwyczaju. Było tylko ryzyko.

Jun odjechał, zostawiając bakałarza na pustym dziedzińcu z próżnymi rękoma, za to pełnego obaw. Do zrobienia zostało jedno – spakować się i wyjechać. Oficjalnie, by wykorzystać dwutygodniowe „wygnanie” na ćwiczenia kaligrafii w którymś z okolicznych klasztorów. Naprawdę, by przeczekać z dala od Hengshanu aż do przybycia inspekcji cenzorskiej.

Zbyt wielu świadków widziało, co duch Penga zrobił z Sunem, żeby Chu zdołał sprawę zatuszować. Ale przez te dwa tygodnie ktoś na pewno odkryje zerwaną podłogę w pawilonie, a słudzy przypomną sobie wizytę Xiao. Dopóki Chu nie zostanie pojmany, ryzyko było dla bakałarza zbyt wielkie.

Nie chciał myśleć, co będzie, jeżeli cenzor sprawy nie podejmie lub wręcz poinformuje o liście Chu. To oznaczałoby koniec. Jednak tak naprawdę Xiao miał już dość Hengshanu. W jakimś momencie przestał traktować stanowisko pisarza sądowego jak synekurę. Widział już zbyt wiele. I nie chciał przymykać oczu.

Przywołał lektykę i kazał zawieźć się do domu.

*

– **To Xiao.** – Chu zazgrzytał zębami, odprawiając uśmiechniętego Juna. List latał mu w rękach.

– Ten gryzipędzerek? – De pokręcił z niedowierzaniem głową. – Czy on się na rozum z bawołem wodnym pozamieniał?

Siedzieli rozparci na rzeźbionych w drewnie i kamieniu fotelach, odziani w białe żałobne szaty. Na stole obok stały wykwintne przekąski i drogie Żółte Wino. Od lamentów opłaconych płaczek terroryzujących swym wyciem posiadłości Suna i całą okolicę oddzielały mężczyzn grube drzwi wspaniałego gabinetu nieboszczyka.

Chu opanował wzburzenie i sięgnął po liczi świeżo sprowadzone z południa.

– Wszystko przejrzał, gnojek świński. Podałby mnie cenzorowi jak na tacy.

– Gdyby nie twój kuzyn...

– Zrobię go pisarzem. A Xiao...

– Znam odpowiednich ludzi. – De łyknął podgrzanego wina.

Sędzia poruszył się niespokojnie.

– To zbyt ryzykowne. Jego ojciec... Obawiam się, że w rozpaczy mógłby narobić nam kłopotów. Lepiej go nie prowokować.

– Co więc proponujesz?

Chu chwilę wysysał owoce.

– Włamał się do pawilonu, są na to świadkowie. Jeszcze dziś każę go pojmać, osadzić w areszcie, obić kijem, połamać palce, może zmądrzeje. Porozmawiam z ojcem, po znajomości doradzę przypilnować syna...

– Nie wystarczy. – Rządca odstawił czarękę. – Żywy pisarz może nam bardzo zaszkodzić.

– Przecież ci mówiłem... – zniecierpliwił się Chu, ale De uspokajająco podniósł dłoń.

– Mam lepszy pomysł. Banicja! Trzeba wysłać go karnie daleko stąd, gdzie łatwo o wypadek. Najlepiej na północ, do Wielkiego Muru. Rodzina dowie się z opóźnieniem, nie będzie mogła niczego dojść.

Twarz Chu wykrzywiła się w uśmiechu.

– Mam jeszcze lepszy pomysł. Niebiosa widocznie stoją po naszej stronie, bo w przyszłym tygodniu zdążać będzie przez Hengshan na Dalekie Południe oddział

posiłkowy Armii Cesarskiej. Na pewno przydałby im się wyedukowany pisarz. Wyślemy Xiao tam, gdzie o wypadek najłatwiej: na wojnę!

Nie bez racji powiadali starożytni:

Liu pije, a wołają, że Lui jest pijany;

Chciano ściąć morwę, a upadła wierzba.

Jeśli chcecie wiedzieć, czy knowania sędziego Chu i rządcy De odniosły skutek, zajrzyjcie do następnego rozdziału.

Rozdział VI

w którym upokorzony Xiao Long szuka wyjścia z matni i dokonują się kolejne zemsty.

– Byliście kiedyś w domu uciech Baixue?

Zamiast odpowiedzi rehot strażników zadudnił głucho w ciemnej celi aresztu. Słynny przybytek starej rajfurki nie był na rękaw przeciętnego mieszkańca. Siedzący na lodowatej posadzce, zakuty w ciężkie dyby, Xiao w duchu dziękował Niebiosom, że nie trafił dotąd do znacznie surowszego miejskiego więzienia i że pilnowali go strażnicy nowi w jamenie, jeszcze parę dni temu podwładni starosty. Z ludźmi pamiętającymi Chenga i Denga nie zdołałby zamienić słowa.

– Mam tam znajomości. Nie zapłacicie nawet miedziaka.

Tym razem nie roześmieli się, lecz zaciekawieni spojrzeli z wysokości kamiennego podestu na siedzącego w dole bakałarza. Prostaki, ledwo co nogi im po sadzeniu ryżu obeschły. Dotąd mogli tylko pomarzyć o ładnych, wprawnych i zadbanych kurtyzanach.

– Mam też coś specjalnego. Magiczne pigułki. Można dziesięć kobiet zmóc w ciągu jednej nocy i nie poczuć zmęczenia...

– Gdzie masz te pigułki? – wychrypiał niższy strażnik.

– W gabinecie.

Dokładnie opisał miejsce, gdzie tydzień z górami temu zostawił pudełko. Miał wszelkie prawo przypuszczać, że na niepozorny pakunek nikt nie zwrócił uwagi.

Skinąwszy głową, wartownik wyszedł. Xiao zgarbił się pod ciężarem drewnianych dybów i syknął boleśnie, kiedy plecami dotknął chropawej ściany. Zajęty rozmową zapomniał na chwilę o obitym grzbiecie. Ale o upokorzeniu pamiętał cały czas.

Miał szczęście, że tych kilka kijów, które dostał, ominęły pośladki i nogi. Wtedy mógłby tylko leżeć w udęce. Wiedział, co chłosta potrafi zrobić z człowiekiem.

Pamiętał swój strach, kiedy strażnicy wlekli go na placyk jamenu. Gdy skończyło się na paru uderzeniach w plecy, z płaczem chciał dziękować Chu za łaskę. Teraz jednak nie czuł już tej wdzięczności. Poznał karę, jaką mu wyznaczono.

Na Wieży Bębnow wybijano właśnie Godzinę Szczura, kiedy strażnik wrócił, potrząsając pudełkiem. Razem z kompanem jęli badać zawartość.

– Co się z tym robi? – zapytał wreszcie wyższy.

– Połyka, a potem idzie z kobietą do łóżka – niecierpliwie wyjaśnił bakałarz.

Miał coraz mniej czasu. Musiał zagrać na uczuciach.

– Jutro jadę walczyć na Dalekie Południe. Za tydzień mogę już nie żyć. Takich domów uciech jak tu, tam nie będzie. Dziś w nocy mam ostatnią okazję zażyć jakiejś ślicznotki.

Zarechotali, ale jakby sympatyczniej. Niższy mężczyzna łypnął cwaniacko okiem.

– A nie uciekniesz?

– No jak, z tym? – Xiao wymownie poruszył nogami. Brązowy łańcuch zagrzechotał o posadzkę.

– A jak z tym będziesz tej ślicznotki zażywał? – Wyższy zaśmiał się, ale drugi uciszył go przekleństwem.

– Czyli mówisz, że to byłoby za darmo? – upewnił się.

– Całkowicie – skwapliwie potwierdził bakałarz.

– Bierz. – Niższy podsunął młodzieńcowi pudełeczko. – No bierz! Pierwsi tego nie weźmiemy.

Xiao z udawaną pewnością siebie wziął pigułkę. Tak naprawdę nie miał pojęcia, czym są i jak działają te ciemne, obsypane cynobrem kulki. Musiał zaufać słowom Luia.

Środek był obrzydliwie gorzki. Gdyby nie gęsta ślina, która wezbrała mu ze wstrętu w ustach, nie zdołałby go przełknąć. Strażnicy spojrzeli po sobie, a potem poszli w ślady bakałarza.

Nie mógł uwierzyć, kiedy zdjęli zeń ciężkie dyby, pozostawiając tylko kajdany na nogach, podnieśli i wyprowadzili z lochu. Wkrótce dwukołowy wóz wyjechał przez bramę jamenu na pogrążoną w nocnych ciemnościach ulicę. Mimo bicia, zamknięcia, kajdan i strachu, pętających jego wolę, Xiao wciąż miał szansę. Przy odrobinie szczęścia...

„Powinieneś dziękować sędziemu Chu, że był dla ciebie tak łaskawy. Służba na Dalekim Południu być może nauczy cię życia”. Słowa ojca wróciły z zakamarków pamięci, by popsuć jedyną jaśniejszą chwilę w ostatnich dniach. „Nie trzeba było zadzierać z Sunem”. I to, co zabolalo najbardziej: „Ludzi takich jak on można sercem nienawidzić, a rozumem nimi gardzić, ale obliczem trzeba okazywać im szacunek”. Xiao przytakiwał, jak dobremu synowi przystało, ale teraz z goryczą wspominał ostatnią radę ojca. Przecież sam na pozór okazywał mu posłuszeństwo, choć w głębi duszy czuł kielkujący bunt.

Przed przybytkiem Baixue było pusto, ale tym razem Xiao nie czuł żalu. Na widok wozu z trzema mężczyznami, w tym jednym ze spętanymi nogami, służka wydała pisk zdumienia. Xiao poczuł płomień narastający w podbrzuszu, którego nie ugasiła nawet pomarszczona gęba Baixue.

– Jeszcze nie w górach Dalekiego Południa? – zaczęła kpiarsko, wpuszczając ich na dziedziniec, lecz na widok kajdan zrzęda jej mina.

– Zaprosiłem dwóch towarzyszy na miły wieczór – rzucił Xiao i z trudem zsiadł.

– Nie chcę kłopotów. – Baixue zniżyła głos, cofając się kilka kroków.

– Nie będzie kłopotów. Zabawimy się, a rano grzecznie dam się odwieźć pod Północną Bramę.

Rajfurka popatrzyła ponuro, a potem skapitulowała i wpuściła całą trojkę do sali głównej. Była prawie pusta. Klienci rozeszli się już do pokojów, na ławach siedziało czy raczej leżało tylko dwóch gości, którzy w ramach gry wstępnej nadużyli trunków, w rogu sali spała tancerka.

– Mam jeszcze kilka wolnych dziewczyn – mruknęła stara. – Jest was trzech, to będzie po...

– Już zapłaciłem – przerwał Xiao. – Kiedy przeszkodził nam Chu. Zapłaciłem za całą noc z twą najlepszą kurtyzaną, a zdążyłem jedynie zakosztować przekąsek. Niebawem świta, a tych dwóch zadowolą najtańsze dziewczyny. – Nie ściszył głosu. Strażnicy byli zbyt zajęci ślinieniem się na widok skulonej tancerki, żeby zwrócić uwagę na rozmowę. Xiao też poczuł ciepło na widok odsłoniętego biustu śpiącej.

Rajfurka chwilę przetrawiała te słowa. Wreszcie kiwnęła głową.

– To uczciwe. A dla ciebie?

– Ja chcę porozmawiać z Modrym Lotosem.

– Porozmawiać? – parsknęła Baixue.

– Tak – odparł z naciskiem.

– Jest u niej klient.

– Poczekam.

Wydeła usta, ale nie odpowiedziała. Zamiast tego skinęła na strażników.

– Zaprowadzę was na górę.

– A ten co? – wychrypiał niższy, wskazując na bakalarza.

– Nim zajmę się potem – rzuciła opryskliwie. Wybuchli dwuznacznym śmiechem.

– Ale jak go o świcie tu nie będzie – strażnik spoważniał – to zeznamy, że to wszystko twoja sprawa.

– Tak, i może jeszcze, że porwałam was trzech z aresztu i tu przywlokłam? – odpyskowała Baixue. Xiao zagryzł wargi, zobaczywszy, że do mózgów strażników

dotarła wreszcie świadomość ryzyka, jakie podejmują. Spojrzeli po sobie; wyższy już miał coś powiedzieć, kiedy tancerka poruszyła się i jęknęła przez sen.

Błysk rozumu w ich oczach zgasł, zastąpiony ogniem podniecenia.

– Masz tu być o świcie, rozumiesz? – warknął niższy do Xiao, a na Baixue machnął ręką: – Na co czekasz! Prowadź!

Xiao został sam. Siadł na najbliższej ławie, mimowolnie opierając się plecami o ścianę. Nie poczuł bólu. Nie czuł niczego, poza buzującym w trzewiach płomieniem. Nawet złość wyparowała, zastąpiona przez chłodną determinację. Spojrzał na kajdany pętające jego nogi i podłużną brązową kłódkę sprężynową. Któryś z chrapiących ochlapusów miał zapewne przy sobie jakiś nóż, zaś rajfurka powinna trzymać na zapleczu narzędzia.

Ale nie o ucieczkę mu chodziło.

Przyszedł tu się zemścić.

A może raczej kogoś pomścić.

Kiedy Baixue pojawiła się na schodach, zapytał bez ogródek:

– Czy jest u niej Chu?

– Tak – odpowiedziała równie otwarcie.

– Jak często tu przychodzi?

– Regularnie od tygodnia.

Kiedy podeszła bliżej, uderzył ją. Słabo, ale wystarczyło. Upadła z jękiem i znieruchomiała.

Z trudem zaciągnął kobietę do jednej z bocznych sal i ułożył za ławą. Na wszelki wypadek skrepował rajfurkę jej własną jedwabną szarfą, a do ust wetknął oderwany strzep spódnicy. Miał nadzieję, że się nie zadławi. Podeszedłszy do schodów, pochylił się, ujął jedną ręką łańcuch i zaczął powoli wspinać się na piętro.

Drzwi do komnaty Modrego Lotosu były zamknięte. Dochodziły zza nich jęki i posapywania. Zastukał raz i drugi. Jęki umilkły, posapywanie zmieniło się w warkot.

– Zawarte, nie widać?

Słyszając głos Chu, Xiao uśmiechnął się pod nosem i zastukał jeszcze raz, mocniej.

W komnacie rozległy się złorzeczenia, łóżko zaskrzypiało, zaszurały kroki.

– Pożałujesz, kimkolwiek jesteś, przeklęty...

Drzwi otwarły się. Xiao sięgnął do miecza ukrytego w pasie. Przetrwał był bezpiecznie rewizję, choć mało brakowało, by znudzony strażnik rozpoznał w nietypowej sprzączce zmyślnie wkomponowaną rękojeść. Gdybyś tylko miał lepszych ludzi, pomyślał Xiao, patrząc prosto w rozszerzone oczy Chu, i ciął go w szyję.

– To ja, Xiao Long! – krzyknął w kierunku sypialni, wpadając do środka. Chu runął na wznak, trzymając się za rozplątane gardło. Bezskutecznie próbował krzyczeć. Bakalarz przygniótł go kolanami do podłogi, twarz przydusił poduszką porwaną z krzesła. Narzucony chałat sędziego rozchylił się, odsłaniając obrzmiały jaspisowy scepter.

– Zaraz u ciebie będę, nie wstawaj! – zawołał do Modrego Lotosu, walcząc ze słabnącym Chu. Nie myślał, że pójdzie tak łatwo. W istocie nie myślał w ogóle. Po prostu to zrobił.

Nogi sędziego wyprężyły się po raz ostatni i znieruchomiały. Poduszka przesiąkła krwią na wskroś. Xiao wstał niezgrabnie i sięgnąwszy po dzbanek z zimną herbatą, zmył z dłoni czerwone plamy. Nie czuł zmęczenia, nie czuł strachu, nie czuł odrazy. Tylko ogień w podbrzuszu wciąż buzował.

– Już idę – sapnął, dokładnie zamknął drzwi na korytarz i wszedł do sypialni.

Chu zdążył być sporo nauczyć się od Suna. Modry Lotos leżała na plecach. Bandaż na jej lotosowych stópkach rozplątano i przerzucono przez pręty moskitiery tak, by unieść i rozszerzyć jej nogi. Chu musiał długo się z nią zabawiać, bo była półprzytomna i wciąż jęczała cichutko.

Bakałarz wyjął z rękawa trzy pigułki, zważył je w dłoni. Potem sięgnął po opróżniony do połowy dzban wina, uniósł głowę kurtyzany i włożył jej do ust dwie pigułki. Zakrztusiła się, ale przełknęła. Sam połknął trzecią.

Ostry smak przywrócił Modry Lotos do przytomności. Otworzyła oczy. Przez urodziwą twarz przemknął wyraz zdumienia, zastąpiony zaraz wyuczonym uśmiechem. Xiao rozebrał się i zaczął na przemian wzniecać i gasić pożar.

*

Jedno milczy jak głaz w leśnym zakątku, drugie kwili niczym wilga w krzewach.

Nie raz wąż znalazł schronienie w grocie, nie dwa razy spieniły się fale morza i nie trzy esencja wypełniła czarę.

Wysoko nad jego barkami jak dwa sierpy księżycy błyszczą jej łydki.

Złote szpile wypadają z włosów rozsypanych wonnym obłokiem na jedwabnej poduszce. Ulewny deszcz spada z wezbranych chmur, by gasić pożar, który wybucha wciąż na nowo.

Jak motyl upojony słodyczą kwiatu nie może zerwać się do lotu, tak on po długich potyczkach pada wreszcie bezwładny, nie mogąc uronić już z jaspisowego szeptu ani kropli.

Jego czarne brwi spoczywają podwójnym łukiem na jej obliczu gładkim niczym nefryt.

I niczym nefryt zimnym.

*

Drzwi jednej z komnat były uchylone. Xiao zajrzał do środka i ku swej uldze poznał chałat niższego strażnika.

– Wstawaj, już świta! – syknął.

Mężczyzna zerwał się jak oparzony. Jego kurtyzana spała z tyłkiem bezwstydnie wypiętym za krawędź łóżka. Modry Lotos nigdy... – pomyślał bakałarz i poczuł nagły skurcz serca.

Strażnik oprzytomniał zadziwiająco szybko. Jeszcze nie całkiem ubrany zaczął łomotać do komnaty, gdzie spał jego towarzysz. Zdażyli zbiec na dół, nim słońce wychyliło się zza widnokregu.

Mimo dowodu dobrej woli bakałarza strażnicy zrozumieli chyba, jakie szaleństwo popełnili, dając się ponieść zmysłom. Jak gdyby dzisiejszą gorliwością można było nadrobić wczorajsze zaniedbanie, trzymali więźnia kurczowo, popychając przed sobą bezceremonialnie. Poranek był mroźny, niebo zasnuwane chmurami. Jadąc ku Północnej Bramie, strażnicy poganiali konia, ile się dało. Raptem mgliste powietrze wypełniło się wirującymi drobinkami śniegu. Strażnicy wydali sapnięcie zdumienia. Lecz Xiao siedział obojętnie. Ostatni raz widział śnieg na ulicach Hengshanu, będąc małym chłopcem. Na Dalekim Południu nie ujrzy go tym bardziej. Jeśli w ogóle dożyje następnej zimy.

Ale to nie miało znaczenia.

Dotarli pod Północną Bramę akurat w chwili, kiedy na znak dany tabliczką dowódcy wartownicy zdzierali z wrót papierową pieczęć. Wrota stanęły otworem.

Zostawiwszy wóz w mieście, strażnicy wyszli z Xiao poza mury, na budzące się do życia przedmieście. Oddział armii cesarskiej śpieszący na południe nie miał w planie zatrzymywania się w Hengshanie. Gdyby rozminęli się z więźniem, strażnicy zapłaciliby skórą na plecach, a Xiao prawdopodobnie głową.

Błada poświata rosła nad horyzontem. W oddali zamajaczył nareszcie oddział. Strażnicy wsunęli w kłódkę podłużny klucz i zdjęli bakałarzowi kajdany. Oswobodzonego pokleпали ze śmiechem po plecach. Nie odwzajemnił gestu.

Jeźdźcy przemknęli obok, cwałując drogą wzdłuż fosy. Odłączyła się od nich niewielka grupa, wiodąca ze sobą luzaka. Bakałarz bez słowa wskoczył na siodło.

Pomknęli ku głównemu oddziałowi, nie oglądając się na pisarza. Nie musieli. I on, i oni wiedzieli doskonale, że próba ucieczki skończyłaby się dlań strzałą w plecy.

Po raz ostatni spojrzął na mury miasta oraz potężną sylwetkę Świętej Góry, widoczną przez mgłę jak cień na moskitierze. Potem wbił wzrok w grzywę konia i więcej nie oglądał się za siebie.

Modry Lotos umarła w jego ramionach, z twarzą wykrzywioną w upiornym połączeniu rozkoszy i cierpienia. Nie rozumiał, dopóki nie zobaczył na stoliku obok łóżka papierowego pudełka, takiego samego jakie dostał od Luia.

Ale to nie było jego pudełko.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak Xiao Longowi wiodło się na Dalekim Południu, przeczytajcie następny rozdział.

Słowo o transkrypcji

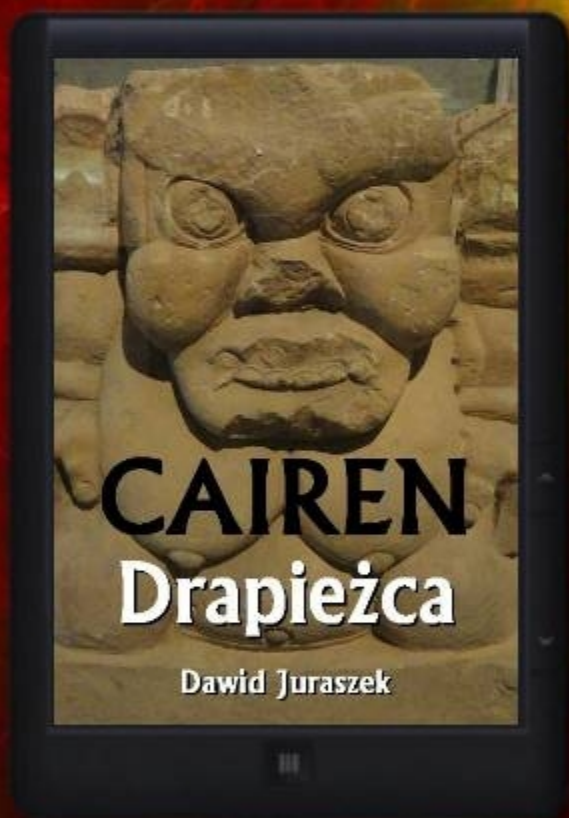
Większość nazw i imion zapisano w systemie *pinyin*, powszechnie stosowanym na świecie do fonetycznego zapisu języka chińskiego. Jego znajomość – lub brak takiej – nie przekłada się na satysfakcję z lektury, ale dociekliwi znajdą poniżej garść wskazówek:

x czytamy jak *ś*, *w* jak *ł*, *y* jak *j*, *j* jak *dź*, *q* jak *ć*, *z* jak *c* lub *dz*, *zh* jak *dź*, *ch* jak *cz*, *sh* jak *sz*, *i* po *z*, *c*, *s*, *zh*, *ch*, *sh* jak *y*, *r* na początku sylaby jak *ż*, na końcu jak *r* „angielskie”, *ng* jak *n* tylnojęzykowe (*ŋ*).

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń
na każdy czytnik**

Czasem człowiek chce dobrze, a wychodzi jak zwykle... W przypadku bakałarza Xiao Longa, bohatera cyklu *Jedwab i porcelana*, oznacza to spotkanie z nieznanymi a groźnymi siłami i podróż w obce a niebezpieczne strony. W III tomie *Czerwony ptak* pojawiają także nowi ludzie oraz nowe wyzwania i pokusy, które wystawią Xiao Longa na kolejne próby, z którymi tak strasznie nie chce mu się mierzyć..



Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen! Orientalna fantasy awanturnicza z epoki fantastycznie sformatowanych podbojów mongolskich, z napinaniem mięśni i przymrużeniem oka, obficie okraszona zaginionymi cywilizacjami, walnymi bitwami, groźnymi monstrami, magicznymi sztukami, powabnymi dziewczkami, literackimi nawiązaniami, et cetera...

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

szukaj na

www.rw2010.pl

lub w e-księgarniach

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!